

Michał Choromański

Schodami w górę,



schodami w dół



Michał Choromański

SCHODAMI W GÓRĘ, SCHODAMI W DÓŁ

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-89-7

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1986

Projekt okładki: Marcin Labus

Fotografia na okładce przedstawia scenę z filmu „Schodami w górę, schodami w dół”, którego scenariusz powstał w oparciu o niniejszą książkę. Rok produkcji: 1988. Scenariusz i reżyseria: Andrzej Domalik. Autor zdjęcia: Roman Sumik. Właściciel praw autorskich zdjęcia: FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny. Osoby (aktorzy) na fotografii: Magdalena Wójcik (kreująca postać Lusi) i Maciej Robakiewicz (kreujący postać Karola).

BYŁ KONIEC KWIETNIA, ale w górach dzięki wyjątkowo ciepłym tegorocznym, wiatrem już wiosna była w pełni: kwitły krokusy, kiedy zjawiała się tam niesympatyczna, ale ze wszech miar ciekawa postać Ryszarda, o którym w przyszłości plotkowano, że był niemieckim szpiegiem, i którego w najlepszym razie nazywano spódniczkarzem lub donżuanem. To ostatnie przezwisko przesączyło się w ślad za nim z Czechosłowacji, w której podobno przebywał przez pewien czas. Natomiast o jego rzekomo ciemnej przeszłości politycznej dowiedziano się u nas dzięki niedyskrecji popełnionej przez komisarza policji krakowskiej, dra Bolesława Szmurłę. Napomknął coś o tym, że w pewnym notesiku, notesiku szczególnie poufnym, figurowało niegdyś nazwisko Ryszarda wśród nazwisk podwójnych konfidentów. Natychmiast po tym niewątpliwie świadomym przejęzyczeniu dr B. Szmurło zamilkł jakby zażenowany. Komisarz policji nie lubił Ryszarda, ale bynajmniej nie szło mu o jego przeszłość – do której dobrze wychowany człowiek odnosi się co najmniej z pewną dozą obrzydzenia. Szło mu tylko i po prostu o kobietę. Każdy, nawet dziecko małe domyślało się, o kim w tym wypadku myślał.

Otóż wspomniałem, że komisarz wymienił nazwisko Ryszarda jako figurujące itp. Rzecz w tym, jakie to było naprawdę nazwisko. Przyjechał Ryszard i zameldował się w naszej wysokogórskiej miejscowości jako inżynier budowlany Ordęga trojga imion Ryszard Luty Eustachy – nazwisko znane i szanowane, ale jak się okazało, pod które się nieprawnie podszywał. Po co? w jakim celu? Dopiero potem usłyszałem jednym uchem, że i tutaj należało doszukiwać się romansu: po prostu nie chciał, żeby ta lub inna żona wreszcie go odnalazła. W rzeczywistości nazywał się jakoby Furdala.

Obiecałem opowiedzieć, w związku z jaką kobietą komisarz nie lubił Ryszarda, i czynię to skwapliwie. Tym bardziej że stanowi ona o rdzeniu opowieści. A właściwie nawet nie o rdzeniu. Była czymś w rodzaju pnącza, oplatającego pień rozłożystego drzewa, za jakie uważam swego prawdziwego bohatera czyli Ryszarda. Pnącz do tego stopnia rozrośnięty, że niekiedy z trudem da się pod nim namacać główny temat książki. Innymi słowami ornamentyka literacka głuszająca przewodnią nić. Jednak kobieta ta warta grzechu, nie tylko książki. Bo i naprawdę była nadzwyczajna. Szmurło nie był odosobniony w swym niedzisiejszym do niej uwielbieniu. Wszyscy, którzy kochali się w niej, byli jej wierni od wieku niemal mutacji aż po grobową deskę. Tylko że nie była to miłość taka, do jakiej po wojnie myśmy się już przyzwyczaili. Nie było to zwykłe miłosne pożądanie. Miłość do pani Draginy była zawsze miłością do władzy. Spotkawszy się z nią, mężczyzna zawsze wołał: – Albo ja nic nie jestem wart, albo ona będzie moja! – Więc była, jeżeli można tak rzec, probierzem mocy ducha męskiego, coś w rodzaju żywego siłomierza. Komisarz, figura na krakowskim gruncie dość ponura i nędzna, twierdził, że ma zwichniętą karierę polityczną tylko dlatego, że nie potrafił jej zdobyć. Coś z jego dążeniem do władzy więc było nie w porządku.

Jednakowoż trudno na wstępie poruszyć na raz wszystkie te tematy. Powróćmy do najważniejszego. Jediną kobietą, która mogła stawiać czoło zakusom donżuańskim Ryszarda, była właśnie pani Dragina. Jeżeli zaś zdążyłem już opowiedzieć i o komisarzu Szmurle, i o plotkach na temat szpiegostwa, itp., to bynajmniej nie po to, by w sposób wulgarny zaciekawić czytelnika na samym początku. to będzie dalej? Jak tam było naprawdę z tym poufnym notesikiem i czy nie zakrawa to na zemstę zawiedzionego komisarza? Z góry proszę nie dawać wodzy fantazji w tym kierunku. Nie jest to opowieść sensacyjna i sęk jej bynajmniej nie tkwi w tych lub innych przygodach kryminalnych lub miłosnych. Całkiem gdzie indziej! Prawdziwy klucz tematu trzymam mocno w garści i dopiero pod koniec tomu zobaczymy zamek, do którego pasuje.

Dlaczegoż w takim razie tyle się mówiło o ciemnej przeszłości, o notesiku, przybranym nazwisku, o zawiedzionych, być może, nieprawnych żonach? Wyznam z ręką na sercu, że zależało mi na wywołaniu w wyobraźni czytelnika czegoś w rodzaju dwuznacznego zamętu –

chwyt nieszlachetny, być może, ale zupełnie nieodzowny, skoro się chce (nie znając Ryszarda osobiście) – oczyma duszy go sobie wyobrazić. Dwuznaczność! Był to ten sam legendarny pan z zegarkiem, o którym się mówi: nie wiem, czy jemu ktoś skradł zegarek, czy on komuś – ale w każdym razie coś tam było!... Bez tego wstępu o Ryszardzie nawet nie warto zaczynać. I jeszcze jedną rzecz dodam: Szmurło jest postacią raczej epizodyczną. Znacznie ważniejszą rolę w rzekomym zdemaskowaniu Ryszarda – o ile znów powrócimy do nieważnej w tym wypadku strony fabularnej – odegrał były kelner, Barski, obecnie właściciel domku na Baziach.

Na którymś tam kilometrze za miasteczkiem, gdy się szlakiem podbaziąńskim szło w stronę szosy krakowskiej, przekraczało się zazwyczaj potoczek (skromny dopływ Dunajca) – i tam taternik przystawał z okrzykiem niekłamanego zachwytu. Zasnutym mgłą wzrokiem spoglądał we wzniosłej zadumie na zieleniejące wzgórze, otoczone wokół wierzbami o puszystych baziach i uwieńczone wspaniałą chińską pagodą: werandy na górze, werandy na dole, cała kongregacja daszków i poddaszy o wypukłych i zagiętych do góry rynnach – jednym słowem willa pani Draginy, wdowy po znanym, a zarazem zapoznanym architekcie tudzież rzeźbiarzu, o którym trochę poniżej.

Na werandach, niczym w tropikach zewsząd dom otaczających, kwitły wiosną i latem pnące się z korytek liliowe, błękitne, pomarańczowe kwiatki – z oddali wyglądało to tak, jak gdyby cała willa tonęła w mglistych płomieniach, a kiedy na zboczach wytryskiwały krokusy, miało się naprawdę wrażenie, że wzgórze oblane spirytusem i podpalono. Za życia męża pani Draginy było to możliwe, nieboszczyk architekt chlał czystą aż miło.

Miał poza tym trochę niedobrze w głowie i dowodził, że tylko wzmożona potencja seksualna jest podłożem wszelkiej sztuki. Impotent Partenonu nie zbudował, o nie, moi panowie! Sądząc po komplementach, których samemu sobie i swym architektonicznym projektom nie szczędził – za impotentą samego siebie nie uważał.

Ponoć przaprzyczyną wszystkiego i złym duchem tego żalosego nieporozumienia był Stanisław Przybyszewski. To on pewnej burzliwej nocy spotkał w kawiarni młodego krakowskiego architekta, Antka Łuckiego, i pełen szatańskiego niemal patosu, nazwał go Budowniczym Solnesem. Do miasteczka naszego w sezonie zjeżdżało moc starych krakowian i nieraz słyszałem to opowiadanie. Pogoda była pod psem, można powiedzieć zupełnie pod Przybyszewskiego. Ochłapy mokrego śniegu waliły w szyby nocnej knajpki, prostytutki na Floriańskiej i Św. Jana aż płakały z chłodu i żalu. Nie wiedzieć skąd, ni to spod szyn kwasu, ni to spod nóg samotnej pani w czerni i w kapeluszu ze strusich piór, siedzącej na kanapie, wylazł przybłęda, czarny pudel na strzyżonych nóżkach, i podszedł do Przybyszewskiego, by otrzeć się o jego kolano. Sam czart! Cha cha! Przybyszewski przechylił się przez stół, chwycił za rękaw Antka Łuckiego i szepnął: – Robaczku! Ja tylko wiem, co w tobie śpi. Geniusz na pierzynie. Talent przykryty watowaną kołdrą. Obok ciebie leży albo nabity rewolwer i samobójstwo, robaczku, albo genialność. Budowniczy Solnes, wybieraj! Cha cha! Ale pamiętaj – na tej ziemi oczom swoim nie wierz i buduj prachucią!

Kundel stanął na tylne nóżki i wyciągnął do Antka Łuckiego łapę. Oczy podobno błyszczały mu czerwonym blaskiem. Sam czart!

Nie wiadomo, jak przy pomocy chuci zbudował budowniczy Solnes dwie secesyjne kamieniczki w Krakowie, już obecnie nie istniejące – ale kariatyda na jednej z nich miała takie piersi, że podobno pani Dragina (osoba pod tym względem raczej szczupła) nie mogła ich mężowi darować nawet na jego łożu śmierci.

Tak, Przybyszewski odegrał swoją rolę. Jak wiadomo, pierwszą żoną Mocnego Człowieka była Dagny, Norweżka. Łucki, który chodził za nim jak cień, nie chciał pozostać w tyle. Już na Plantach krakowskich go poznawano i mówiono do niego: mistrzuniu. Już nazwa Budowniczy Solnes przylgnęła do jego peleryny i młodopolskiej rudej brody, w czym

trochę przypominał Wyspiańskiego. Prawdopodobnie dlatego Antek Łucki nie mógł już się ożenić z Polką i po powrocie z Bułgarii, gdzie spędził lato szkicując sklepienia zabytkowych klasztorów, przywiózł z sobą panią Draginę.

Na szczęście Przybyszewskiego już nie było w Krakowie, i pani Draginy nie poznał. Nietrudno byłoby się domyślić, co by się w przeciwnym wypadku stało. Kraków natenczas przeżywał początek swego upadku. O Antku Łuckim prawie zupełnie zapomniano, najprawdopodobniej sam Przybyszewski o nim nie pamiętał, bo w Moich Współczesnych o nim nawet nie wspomniał. Ale Budowniczy Solnes pamiętał o swej wielkości, żyły w nim wciąż niepokój i tęsknoty przez Przybyszewskiego obudzone. Zdawało mu się, że powiedziec światu, co miał do powiedzenia, przy pomocy kamieniczek nie mógł. Przerzucił się na rzeźbę. Z pewnością nie obeszło się tu bez wpływów jego żony, pani Draginy.

Umarłszy w młodym względnie wieku, bo mając zaledwie lat pięćdziesiąt, pozostawił żonie w testamencie tę właśnie pagodę otoczoną krokusami oraz testament polecający wykończenie tamże dzieła jego żywota: znakomitej Męki Pańskiej, wyrzeźbionej w kieleckim różowym marmurze. Właściwie Męka była wykończona jeszcze na długo przed feralną nocą, kiedy w mózgu budowniczego po przepiciu pękło naczynko – brakowało tylko granitowych schodów, do niej prowadzących. Wdowie nie starczyło pieniędzy na ich wykończenie.

Mieszkała, niby to osamotniona, na swym zieleniejącym wzgórzu, o widoku jedynym w Polsce (a może w całej Europie wschodniej) o panoramie Tatr niezapomnianej – zeszpeconej co prawda odrobinę przez czerwony dach małej wstrętnej chałupki, mieszczącej się tuż na stoku, po prawej ręce pagody. Dach ten był powodem nieustannych zgryzot nieboszczyka i jego żony – wyjątkowo szpecił dziką okolicę.

Pod dachem tym, w ciszy domowego ogniska, a właściwie w cieple buchającym spod blachy kuchennej, wygrzewała się w kłębek zwinięta lokajska dusza Barskiego. Byłem podówczas 19-letnim studentem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i wyjechałem w góry na plenery. Zwabiony urokiem Podbazia, wynająłem u Barskiego stryszek, do którego się wchodziło po średniowiecznej, skleconej bez żadnego gwoździa, drabince. Przez okienko w dachu widać było taras, szereg okien (z których dwa od sypialni pani Draginy Łuckiej) oraz szklane francuskie drzwi. Pewnego późnego wieczoru drzwi te otworzyły się i wyszła kucharka Antosiowa z elektryczną latarką w ręku. Był słaby halniak i wiało akurat w moją stronę. Przed paroma godzinami padał deszcz i widziałem, jak Antosiowa jedną ręką wysoko podtrzymywała swą bufiastą spódnicę. Nie zważając na krokusy, deptała po nich, idąc wprost ku naszemu gankowi. Po chwili zapukała i zapytała sennym, niezadowolonym głosem: – Panie Barski, czy wy już śpicie?

– Bo co? – odpowiedział z dołu Barski.

– Ona pana woła, bo jej się coś przyśniło.

Domyśliłem się, czemu tym słowem towarzyszył chichot. A właściwie dwa chichoty. Coś nieco wiedziałem o tym, jak się okoliczni górale odnoszą do wdowy po budowniczym Solnesie. Z pewnością to ten bułgarski akcent tak ich bawi, pomyślałem.

– To niech pani Antosiowa jej powie, że jestem w szelkach – odpowiedział głos Barskiego. – Włożę tużurek, to przyjdę.

– Ach, niech pan idzie w szelkach, czy ona szelek nie widziała? Gdybym chciała i zaczęła liczyć te szelki, tobym się na palcach rąk nie doliczyła. A nie, panie Barski? – Antoniowa wciąż była senna i nawet plotkowała śpiącym głosem.

– A co jej znowu się przyśniło? – spytał Barski.

– Że nieboszczyk pan Łucki zrywa tulipany. Jej się wciąż śni, że zrywa tulipany, a u nas akurat nie rosną. Pan nie wie, co tulipany znaczą?

Co za brednie! pomyślałem. I wychyliwszy się przez okienko, oparłem się o parapet.

– Ja, proszę pani Antoniowej, wcześniej kładę się spać, bo pani wi, jaką mann nogę, i doktor kazał mi jej nie nadwerężać, żeby w fotelu siedzieć lub na łóżku na materacu leżeć. Ja

jestem obraźliwym człowiekiem, pani Antoniowo, i pamiętam długo, jak kto ze mnie żarty stroi. Ja, prawda, mam sennik, egipski sennik, ale po nocach jej go nosić nie będę, nawet tużurku wkładać swego nie chcę.

– Kiedyż ja nie dlatego przyszła, że jej się coś przyśniło, panie Ksawery. Ale jej się przyśniło o tulipanach akurat wtedy, kiedy listonosz telegram przyniósł. Dla mnie sen to ważniejsze niż telegram, więc dlatego z początku o śnie powiedziałam. Kazała powiedzieć, żeby pan zaraz przyszedł, bo ten telegram pana dotyczy. Architekt jakiś telegrafował, a ona chce żeby u pana zamieszkał.

– To dlaczego Antosiowa od końca zaczyna? Już idę, już idę, niech to, psiakrew, cholera ciężka... – Ostatnie słowa wyszeptał, a potem stuknęły na dole drzwi.

Widziałem promyk latarki i dwie ciemne postacie, jedna męska, kulejąca jak to nieszczęście, druga z babską podetkaną spódnicą. Znikły w drzwiach Domu na Baziach.

– Ja, proszę pana malarza, lubię piękne obrazy i w ogóle przedmioty ze wzorami i kosztowne – mówił do mnie nazajutrz Barski, gdy zląwszy po swej drabinie, przechodziłem przez kuchnię. – Pan moim towarzystwem nie pogardzi, kiedy pokażę panu swe herbowe talerze, serwis obiadowy i podwieczorkowy, i trzy tuziny sztucców srebrnych też z herbami, tylko zdekompletowane.

– Bardzo to mnie ciekawi – powiedziałem – czy ładna porcelana, lubię ładną porcelanę, chociaż na niej się nie znam. Trzeba umieć czytać te znaczki na spodzie...

– Niechże pan malarz na chwilę ze mną usiądzie. Ja ze swą skaleczoną nogą stać długo nie mogę, ale sam siedzieć, kiedy pan szanowny stoi, nie chcę. No, niech pan powie i pomyśli, czy z taką nogą jak moja ktoś może być kelnerem? Śmiech na sali.

Kuchnia śmierdziała biedą, ale stały w niej dwa biedermayerowskie fotele z trochę wytartym jedwabnym obiciem. Siadłem na jednym, postawiwszy między kolanami złożone sztalugi.

– Jakim kelnerem? – spytałem zdziwiony. – Nie bardzo zrozumiałem, o czym pan mówił?

– A czy pani Dragina Łucka jeszcze nic panu o mnie nie mówiła?

– W ogóle miałem przyjemność poznać tę panią dopiero przedwczoraj. Na mostku przez potoczek. Ukłoniłem się jej tylko.

Barski siedział, podkurczywszy lewą nogę pod fotel, a prawą wyciągnąwszy przed siebie. Zauważyłem, że nie mógł jej wyprostować, lecz trzymał jakoś półlukiem, przekrzywioną w bok. Miał czarny wąsik, bardzo charakterystyczny czarny wąsik, który swym kształtem coraz bardziej straszył całą ludzkość.

– Na pewno zaprosi pana na obiad, bo ona lubi młodych ludzi. Zwłaszcza z takimi oczami jak pan. Pan się dziwi? Ja też się dziwię. Ale zauważyłem, że ona zawsze otacza się ludźmi z błyszczącymi oczami.

– Jakże to dziwne! – zawołałem z zaciekawieniem i trochę ubawiony.

– A panu oczy błyszczą. Ja, jak patrzę na siebie w lustro, to od razu widzę jakby sadzawkę z rzęsą. Ale niech pan nie wierzy jej, że byłem kelnerem!

Odniosłem wrażenie, że chciał mi się przypodobać, bo pochylił się w krzesło da przodu z trochę przychlebiającym i właśnie... niech go diabli! właśnie z trochę kelnerskim uśmiechem. Ale noga? Czy z taką pokraką można podawać do stołu? Najwidoczniej mówił prawdę. Albo pół.

– Owszem – powiedział – miałem zakład gastronomiczny, temu nie przeczę. Ale być właścicielem zakładu, a kelnerem to dwie, panie, różnice. Chce pan, ja zaraz panu pokażę, niech pan nie odchodzi.

Ze zwinnością kaleki poderwał się z fotela i pokuśtykał do drewnianego nie malowanego kredensu. Otworzył szufladę i wyciągnął parę widelców i noży. – Niech pan

popatrzy – powiedział – inicjały i herb. Pięć pałek, szlachecki. Ot, tu. Proszę: J. K. B. Jerzy Ksawery Barski.

– Piękne widelce – powiedziałem. – Bardzo mi się podobają.

– Och, proszę pana, co tam widelce, czego ja nie miałem! A teraz do czego doszło?

Proszę sobie wyobrazić, że od dziś będę nocował w tej kuchni, bo nawet własny pokój musiałem wczoraj wieczorem podnająć, żeby pani Draginie Łuckiej zrobić uprzejmość. Nie wiem, jaka jest bułgarska szlachta, ale wątpię, żeby była taka gościnna jak nasza. Oczywiście, każę sobie za to zapłacić, bo pan wie, że mam czworo dzieci w szkole. Ale chciałem pana zapytać, czy nazwisko Ordęga coś panu mówi?

– Nic specjalnego. Ale już spotkałem się z tym nazwiskiem.

– A architekta Ryszarda Ordęgi pan nie zna? Nie? Bo proszę sobie wystawić, wczoraj zatelegrafował do pani Draginy, że wieczorem przyjeżdża. Pani Łucka pomyślała, że zechce się u niej zatrzymać, ale dba o swoją reputację, pan rozumie – nawet w szelkach nie mogę do niej wejść – bo jest samotną wdową, więc wynajęła dla niego pokój u mnie.

– Ach tak?

– Właśnie. Odstąpiłem mu swą sypialnię; myślałem, że nocnym pociągami przyjedzie, i za przeproszeniem gu. Na pewno zatrzymał się u Drukowskiego w hotelu.

– A po co on przyjechał?

– Bo wszystkiego jej za mało! Widział pan tę Mękę Pańską?

– A jakże, widziałem!

– Ona chce pod nią grootę zbudować. Coś jakby katakumby chrześcijańskie. Rzym chce starożytny na Baziach wybudować. Takie są jej intencje. Tylko nie wiem, skąd ona forszę na taką grootę dostanie. Bo o forsie ja coś niecoś wiem. Ja na kilometr, proszę drogiego pana, czuję, jak kto ma forszę. To zresztą od razu po twarzy widać, niech pan mi wierzy. I po ramionach. Ja, proszę pana, kiedy sam na siebie do lustra teraz patrzę, to od razu widzę, że nie śmierzę groszem. To w rysach siedzi. Kiedy kto do mej restauracji przychodził, to ja mu zaraz na twarzy tego rysu szukałem. A teraz niech pan popatrzy na moje ramiona. Proszę!

Barski wyprostował się w fotelu i podniósł jedno ramię do góry. Wyglądał jak czupiradło. Potem podniósł drugie, aż głowa mu jakby się w plecy obsunęła. Zauważyłem, że miał sterczące uszy. Nie wytrzymałem i parsknąłem.

– Gdyby pan tyle lat miał do czynienia z klientelą, to pan by się nie śmiał – zauważyłem trochę płaczącym tonem. Ale zupełnie się nie obraziłem. Nawet zobaczyłem na jego wargach jakby odbicie mego własnego uśmiechu. – Jeżeli idzie o flotę, to słowo honoru daję, że jak wyżej ją czuję. Ludzka twarz mnie zawsze interesowała. Teraz patrzę w pańskie oczy i też się interesuję.

– To chyba dlatego mówił pan o tym, że panią Łucką otaczają ludzie z błyszczącymi oczami? – spytałem. – Ale co w tym takiego nadzwyczajnego? Błyszczą, bo widać, ona im się podoba. Ja jako malarz też trochę na twarzy ludzkiej się wyznaję.

– Młody pan jeszcze jest, panie Nitonicki – rzekł do mnie. – Ja z jej znajomymi nieraz rozmawiałem, to też błyszczeli na mnie oczami. A czy ja im się podobam, czy co! A panu! Czy pan do mnie w konkury chodzi, czy co? Dlaczego ma pan taki błyszczący wzrok?

– Ja? – zdziwiłem się. – Co ja? Dlaczego pan mnie do tego wplątał?

– Znowu się pan śmieje? Do widzenia się z panem. Dziękuję, że pan ze mną posiedział. Pan idzie malować przyrodę czy portrety? Słyszałem, że maluje pan córkę Drukowskiego.

– Tak, maluję pannę Lusię się, łącząc przy pianinie.

– I co ma pan za to? Stołuje się pan u nich?

– Owszem, jadam za to w restauracji Drukowskiego obiady.

– Mógł dawać i kolacje. To mój kolega, chociaż udaje, że mnie nigdy na żywe oczy nie widział. Nosi pierścionek z brylantem na palcu, a w krawacie ma perłę. Niech pan nie wierzy ani jednemu jego słowu. A o inżynierze Ordędze niech się pan tam przepytaj jakby

przypadkiem.

– A po co?

– Jeżeli zatrzymał się u nich, to z pewnością jadł u nich kolację. Ciekawy jestem, co sobie z jadłospisu wybrał. Proszę pana, niech pan mi pokaże, jak gość czyta kartę z menu, ja zaraz panu powiem, co to za jeden. Z zamkniętymi oczami powiem. Niech pan nigdy się nie przyjaźni z człowiekiem, który przeczyta kartę od deski do deski, a potem zawsze wybiera sznycel po wiedeńsku. Taki człowiek nie jest wart uwagi.

– A dlaczego on pana tak interesuje?

– No bo po sąsiedzku. Chcę wiedzieć, kto u mnie będzie mieszkał i za kreta tu pracował. Grotołaz czy jak to się nazywa. Groty jej się zachciewa, katakumby.

– Ale, panie Barski, pan wciąż tak mówi, że ja właściwie niż nie rozumiem. Po co miałyby pani Łucka sprowadzać architekta i w zboczku kopać jakieś katakumby, jak pan to nazywa?

– Chce zwłoki nieboszczyka pana Antoniego Łuckiego, święć Panie Boże nad jego pamięcią, przenieść pod samą Mękę Pańską. Jeżeli pan pozwoli, to panu zaraz opowiem.

– Kiedyż już nie mogę, drogi gospodarzu! – powiedziałem, wstając. – Nie chcę, żeby panna Lusia na mnie czekała. Bo kiedy modelka się przeczeka, to to zawsze odbija się na wyrazie twarzy. Ja też jestem fizjonomistą.

Wzdałem złożone sztalugi i pudło z farbami i zbiegłem po schodkach na zbocze.

Byłem na czczo, bo miałem tylko parę groszy na farby i właściwie jadałem tylko raz dziennie, kiedy po skończonym seansie schodziłem do restauracji Drukowskiego. Liliowe pole krokusów rozpościarało się u moich nóg. Chociaż nigdy jeszcze nie piłem szampana i nie wiedziałem, jak on smakuje, pomyślałem, że powietrze było jak szampan. Nawet z lekka musowało. Odwrócony do mnie prawie stopami i widoczny w skrócie Giewont był ciemnogrnatowy i wydawał się tak blisko! Przy każdym kroku rósł mi w oczach. Do miasteczka było tych kilka kilometrów.

Gdy wszedłem do oszklonej werandy restauracji Drukowskiego, Lusia siedziała za kontuarem. Była w moim wieku, ale odznaczała się zniechęconą przez malarzy banalną urodą: miała nosek, oczki, usteczka. Dalibóg, miała nawet loczki! Kiedy brałem pędzle do ręki, mnie się nawet chciało płakać. Poszliśmy na górę. Chciała koniecznie pozować przy pianinie, na którym stała doniczka z alpejskimi fiołkami. Chciała poza tym, żeby na portrecie była podobna do siebie jak dwie krople wody i żeby pod nosem i pod oczami nie było żadnych cieni. Przysłoniłem firanką jedno okno, żeby światło w jej pokoju było bardziej rozproszone, i włożyłem kciuk w otwór palety. W czasie seansów pozwalałem jej rozmawiać, aby zachowała możliwie naturalny wygląd. Ale dziś jej głupio sympatyczna twarzyczka wyrażała wzburzenie.

– Niech pan sobie wyobrazi, panie Karolku, że prawie całą noc dziś nie spałam, bo przyjechał jakiś gość i zatrzymał się u nas pod siódemką. To pokój najgorszy, bo akurat nad dansingiem. Myśmy z mamusią już poszły spać, a tu nagle krzyk na całe piętro. A to, okazuje się, krzyczy ten gość spod siódemki.

– Był na pewno pijany?

– Tatusi mówi, że zjadł na kolację filet mignon z tartym chrzanem i z jajkiem i wypił tylko pół butelki Bordeaux. Był trzeźwy jak but.

Przypomni mi się Barski i roześmiałem się. – Gdyby zjadł sznycła po wiedeńsku na pewno byłby nie krzyczał – powiedziałem. Wtem coś jeszcze głupszego przyszło mi do głowy i zastygłem z pędzlem w ręku. – Ale, ale, panno Lusi! Czy pani wie, że pani Dragina Łucka ma zamiar kopać katakumby i zaprosiła w tym celu ni to inżyniera, ni to architekta?

– A jak się nazywa?

– Ryszard Ordęga.

– Chryste Panie! – Lusie z wrażenia oparła się łokciem o klawiaturę i pianino jęknęło. –

Ten sam – powiedziała. – Ten sam wariat. Niech pan posłucha, czy normalny człowiek może się przestraszyć saksofonu? Niech pan pomyśli.

– Zależy od okoliczności – powiedziałem, wciąż malując. – Zależy, to zależy. A czy on się przestraszył?

– Nic nie zależy. Pan po prostu maluje i nie słucha, co mówię. Każde góralskie nawet dziecko wie, co to saksofon, jak to wygląda i jak to brzmi.

– To zależy – powtórzyłem – to zależy. Niech pani trzyma głowę trochę bardziej na prawo. Ot tak, dziękuję.

Trajkotała przez cały czas, bite półtorej godziny usteczka jej się nie zamykały. Oto, czegom się dowiedział z wielkimi szczegółami, którym, wyznam, nie dałem wiary. Bo i skąd by Lusia o takich szczegółach mogła wiedzieć. Soi-disant inżynier Ordęga przybył w istocie poprzedniej nocy i po zjedzeniu kolacji udał się na piętro, gdzie razem było dziesięć pokoi do wynajęcia. Hotelik, jak widzimy, nie był wielki, ale konkurencyjny Bristol nie dorównywał Drukowskiemu ani pod względem kuchni, ani obsługą. Pokoiki jednak miały ten defekt, że posiadały wyjątkowo cienkie drewniane podłogi, będące niekiedy nawet powodem zażaleń. Zwłaszcza jeżeli miłujący spokój gość otrzymywał numer siódmy, który znajdował się akurat nad salą dansingową.

Ordęga wszedł za służącym do tego pokoju, tak opowiadała Lusia, podziękował za ciepłą wodę i wyjrzawszy przez okno, zapytał:

– A czy daleko stąd na Bazię? – Głos miał nijaki, nie zwracający na siebie uwagi, ot taki sobie głos jak każdy inny.

Służący postawił w kącie walizkę i torbę.

– To zależy, czy liczyć od poczty, czy od szpitala.

– Od poczty? Hm. A poczta?

– Akurat naprzeciwno! – Służący podniósł storę drugiego okna i oczom Ryszarda Ordęgi ukazał się dwupiętrowy gmaszek z oświetlonymi gdzieniegdzie oknami. Wtem służący odwrócił się z zakłopotaniem...

Tu Lusia urwała i patrzyła na mnie poszerzonymi oczkami z wyraźnym osłupieniem.

– Niech pani patrzy na doniczkę z fiołkami, proszę pani, panno Lusi! Proszę nie odwracać głowy w moją stronę. Ale opowiadać pani może. Co się stało służącemu, że się odwrócił z zakłopotaniem? Który to służący? Czy to ten nocny portier Wincenty?

– Tak, Wincenty. Wie pan, co mu się wydało?

– Nie, nie wiem. Skąd bym mógł wiedzieć. Może wydał mu się znajomy?

– Nie, panie Karolku. Wincenty mówi, że pan Ordęga wydał mu się hipnotyzerem!

W tej chwili zauważyłem, że światelko na czubku jej nosa było znacznie bardziej matowe, niż to mi się z początku wydawało. Wziąłem trochę kadmiu i zmieszałem go z karminem.

– Hipnotyzerem? – powtórzyłem. – Patrzcie. Hipnotyzerem? A czy Wincenty kiedy widział hipnotyzera? Niech pani troszeczkę się uśmiechnie. Nie, mniej. Ot, tak.

– Widział w cyrku.

– Co? Kogo widział w cyrku? – spytałem w roztargnieniu, wciąż malując.

– Ach, mój Boże, pan wciąż nie słucha. Wincentego kiedyś jakiś iluzjonista hipnotyzował w cyrku. Mówił mu: „Na panu marynarka się pali!” Albo mówił: „Idzie pan po kolana w wodzie!” I Wincenty we wszystko to wierzył i nawet czuł, że się pali i jest po pas mokry.

– Bardzo ciekawe – powiedziałem – bardzo ciekawe. Albo właściwie, to w tym nie ma nic ciekawego. Fortel. Stary trik. Ale dlaczego mi pani o tym opowiada?

– Bo iluzjonista położył przedtem Wincentemu rękę na ramieniu. Jakże pan tego nie rozumie! Położył rękę zupełnie tak samo jak pan Ordęga...

Znowu zaczęła trajkotać bez żadnego sensu. Zrozumiałem, że potem nocny portier i

nowo przybyły inżynier ucieli sobie wcale długą pogawędkę. Podobno rozmawiali o drożynach, o polityce, o letnikach, a nawet o Bogu. Ordęga bardzo się podobało, że nocny portier był człowiekiem wierzącym. – To bardzo wygodnie! – skomentował. Portier zaczął się kłaniać i już odszedł do drzwi, gdy nagle posłyszał jeszcze jedno pytanie:

– A czy posterunek stąd daleko?

Wincenty, chociaż, zrozumiał, że przyjezdny żartuje, uczuł się trochę nieswojo.

– Posterunek? Pan szanowny o policję się pyta?

– Ano tak. Zawsze lepiej wiedzieć, czy mamy ją gdzieś pod bokiem.

Obaj roześmiali się. Ale panna Lusja, gdy o tym opowiadała, znowu łokciem zawadziła o klawiaturę: bim, bom, bam!

– To jeszcze nie koniec, panie Karolku – mówiła. – Wincenty oczywiście powtórzył to tacie, ale tata zna się na ludziach i mówi, że ten Ordęga musi być człowiekiem z towarzystwa, bo ma paszport zagraniczny z różnymi wizami. Tylko nie może zrozumieć, dlaczego jest taki nerwowy.

– A po czym to widać?

– Po saksofonie.

– Znowu ten saksofon! Jaki saksofon?

– Przecież już panu opowiadałam!

– Pierwszy raz słyszę, słowo daję.

– Czy mogę spocząć na chwilkę, bo mnie szyja boli?

– Proszę.

– To ja panu znowu opowiem.

A było to tak. W samym środku nocy, mniej więcej o drugiej, w końcu korytarza na piętrze zaturkotał dzwonek i w pudełku z numerkami wyskoczyła siódemka. Kiedy dzwonicie się powtórzyło, a śpiący w portierce Wincenty się obudził, z drugiego piętra zeszła pokojówka Frania w naprędcie narzuconej sukience. Znałem tę wiedźmę z widzenia; gdy przechodziłem obok niej ze swymi sztalugami, nigdy nawet nie odpowiadała na moje dzień dobry. Rzadko kiedy pod powabną skądinąd powłoką trzydziestoletniej krakowianki mieściła się dosłownie taka cholera. Obsługując gości, czyniła mu wielką łaskę. Obcasy wpijały się w czerwony chodnik i ramionami poruszała raz naprzód, raz do tyłu. Tymi poruszeniami chciała jak gdyby obrazić cały świat.

Zapukała do drzwi siódemki. Ku jej zdziwieniu nikt nie odpowiedział: proszę. Natomiast po chwili drzwi bezszelestnie się uchyliły i na próg wyszła męska postać w piżamie i w hotelowej kołdrze narzuconej na ramiona. Był to inżynier Ordęga.

Zgadnie ze słowami Frani wyglądał jak człowiek, który ujrzał koniec świata. Pot mu się perlił na czole. Oczy przesuwwały się z przedmiotu na przedmiot, nie zatrzymując się na żadnym.

– Co to jest? co się stało? na Boga? – zapytał głosem urywanym i niemal drżącym.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI